



MICHAŁ KULA

Piąty dzień rozpraw, 15 marca 1947 r.

Początek posiedzenia o godz. 9.00.

Obecni jak w pierwszym dniu rozprawy.

Przewodniczący Eimer: Wznawiam rozprawę Najwyższego Trybunału Narodowego w sprawie przeciwko Rudolfowi Hößowi.

Proszę wezwać świadka.

Świadek podał co do swej osoby: Michał Kula, 34 lata, inżynier mechanik, stanu wolnego, wyznania rzymskokatolickiego.

Przewodniczący: Jakie są wnioski stron co do trybu przesłuchania świadka?

Prokurator Cyprian: Zwalniamy z przysięgi.

Adwokat Ostaszewski: Zwalniamy z przysięgi.

Przewodniczący: Trybunał postanowił przesłuchać świadka bez przysięgi. Upominam świadka o obowiązku zeznawania prawdy i o odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznania.

Świadek zechce nam przedstawić, w jakich okolicznościach dostał się do obozu i wszystko, co mu wiadomo w odniesieniu do osoby oskarżonego oraz spostrzeżenia, jakie poczynił w obozie.

Świadek: Zostałem aresztowany w 1940 r. w Warszawie za pracę podziemną. Do obozu w Oświęcimiu dostałem się 15 sierpnia 1940 r. Wyjechaliśmy z Warszawy o godz. 2.00 po południu z dworca. Był tam transport ludzi złapanych na ulicy, ok. 2000, i nas 300 z Pawiaka. O godz. 4.30 rano 15 sierpnia, w święto Matki Boskiej, przyjechaliśmy do Oświęcimia. Otworzono wagony, ustawiono przed wagonami SS-manów z kijami i ci w straszliwy sposób bili więźniów, tak że więźniowie zapomnieli nawet ubrań i zapasów, jakie mieli, a niektórzy nawet nakrycia głowy. Szliśmy do obozu ok. pół kilometra z bocznic. Droga ogrodzona drutami kolczastymi – za drutami w trawie leżeli SS-mani z ręcznymi

karabinami maszynowymi. Dziwne nam się wydawało, dlaczego nas tak obstawili karabinami maszynowymi przez całą drogę.

Przychodzimy przed bramę wejściową do obozu, gdzie jest napis „Arbeit macht frei”. Niektórzy więźniowie tłumaczyli sobie, że idą do obozu pracy, zresztą tak mówiono. Kiedy przyszedliśmy na plac, ustawili nas. Było nas ponad 2000 ludzi, 2170 czy coś takiego. Było przy nas 30 kapo z zielonymi trójkątami, którzy znajdowali się wtenczas w obozie. W obozie wówczas było już kilkuset więźniów Polaków – wtenczas byli tylko Polacy. Kapo ci zaczęli spacerować pomiędzy szeregami, rozrywali nam kołnierzyki, ściągali obrączki, szukali złota, złotych medalików i krzyżyków. U którego znaleźli, zabrali i jeszcze pobili. Był pośród nas ksiądz. Odczytano nazwiska i okazało się, że było między nami trzech zabitych, którzy starali się zbiec i zostali zastrzeleni, i tych przynieśliśmy ze sobą. Później poprowadzili nas do przebrania. W międzyczasie dostaliśmy numery. Ponieważ to szło powoli, bo odbywało się strzyżenie, więc ja w ostatniej grupie otrzymałem nr 2718. W tej samej grupie co ja znajdował się ów ksiądz. Kapo i trzech SS-mani wyciągnęli go, ponieważ był w stroju księdza, zawiązali mu na szyi postronek i tym postronkiem go przepasali, kapelusz odwrócili mu do góry dnem, dali miotłę do ręki i kazali biegać około tej ostatniej grupy. Następnie poprowadzono nas do łaźni, padło kilka kropel zimnej wody i zaczęło się badanie lekarskie. Odbywało się ono w ten sposób, że stali trzech więźniowie lekarze i pytali się: zdrow czy chory? Potem kazali zrobić w tył zwrot i wszystko jedno – chory poszedł na prawo, zdrow też poszedł na prawo.

Potem przydzielano nas do bloków. Na blokach zastaliśmy sienniki, położyliśmy się, jak kto mógł, ściśnięci. W sali, w której ja byłem – była to sala [o rozmiarach] trzy na pięć metrów – było nas 29. To był sierpień, dzień gorący, okien nie wolno było otwierać. *Lagerführer* – wtenczas był nim Meyer – zapowiadał, że jeśli ktoś odważy się okno otworzyć, wartownik będzie strzelał ze swojej wieżyczki. Więc ludzie dusili się, było po prostu strasznie. Nie można mówić, żeśmy w ogóle spali, tylko każdy siedział w kucki, jak kto mógł. Rano o godz. 4.00 pobudka i zaczęła się nieszczęsna gimnastyka. O tej gimnastyce mówić nie będę, ponieważ jest to powszechnie znane, tylko wyciągnę m.in. takie momenty, których nie można zapomnieć.

Cały plac był wysypany drobnym żwirem i bez obuwia wszyscy biegaliśmy wkoło. To trwało przez trzy godziny. Oczywiście sił nie starczało. Wkoło ustawieni byli SS-mani i tłukli kijami. Kilkunastu więźniów przewróciło się zabitych kijami. Kto się przewrócił, ten więcej się nie podniósł.

Między innymi zginął w ten sposób, podczas tego biegu, komendant straży ogniowej Gieysztor z Warszawy. Był to mężczyzna potężnej budowy, ważył ok. stu kilogramów. Biegać już nie mógł, upadł. Podszedł do niego Leo Wietschorek z kijem i zaczął go w straszny sposób bić. Gieysztor, leżąc na plecach, chwycił za kij tak, że ten nie miał możliwości go uderzać. Wtenczas [Wietschorek] wściekł się strasznie i pobił go tak, że Gieysztor stracił przytomność. Kiedy leżał na trawniku, przyszedł Wietschorek i ten kij o 4-, 5-centymetrowej średnicy wkręcił mu w usta. W ten sposób Gieysztor, komendant straży ogniowej, skończył życie w Oświęcimiu.

Ja byłem w porównaniu z innymi ludźmi młody, sił mi starczyło, ale obserwując to wszystko, obliczyłem, że mogę też nie wytrzymać, więc kiedy grupa licząca ok. 500 ludzi, w której się znajdowałem, biegła wkoło, krąg się zamknął i wtenczas można było w zamkniętym kręgu powolutku biegać pośród więźniów tak, że trudno było to SS-manom zauważyć. Byłem jednym z tych, którzy tak właśnie biegali. Był jeden SS-man przewany przez więźniów „Perełką” – nie wiem, dlaczego go tak nazwali. Ten SS-man „Perełka” stał koło bloku 8. na rogu, przy studni i obserwował więźniów, którzy już przestawali biegać i starali się zachować siły. Takiego więźnia zabierał na blok 8. i tam mu wymierzał karę chłosty. Ale więzień stamtąd już nie wracał. Między innymi zauważył i mnie. Wyciągnął mnie spośród tych biegających i prowadził za blok 8. Tam już leżało ok. 15 więźniów przez niego zabitych. Kiedy mnie prowadził, pomyślałem sobie: „Trudno, koniec ze mną. Nie udało mi się”. Wtedy on zwraca się do mnie i pyta, kim jestem z zawodu. Powiedziałem: „Tak trochę mechanikiem”. „Może jesteś ślusarzem?”. „Tak, ślusarzem.” Wtedy pyta: „Dlaczego nie biegasz?” Mówię: „Proszę pana, zwyczajnie sił mi nie wystarcza, a jeszcze jest do apelu południowego daleko, więc chciałem sił oszczędzić”. Zastanowił się chwilę i powiada: „Wiesz co? Masz tu kubek, będziesz polewał tych więźniów, co nie mogą biegać”. Więc nie zabił mnie. Dostałem ten kubek, stałem pod studnią i dawałem wodę kolegom, którzy się zmęczyli. Za dużo wody dać nie można było, bo to jeszcze bardziej męczyło. Z tym kubkiem chodziłem do południa.

Po południu staliśmy na apelu aż do rozejścia się, po pracy, po godzinach śpiewu, gdzie wszyscy musieli śpiewać, a dyrygentem był Leo Wietschorek. Nie miał on w ogóle słuchu, więc nam nucił „Im grünen Wald” i inne jakieś niemieckie piosenki, a gdy całą piosenkę nam powiedział w języku niemieckim i zanucił – beczał co prawda jak baran – wiele z tej lekcji nie mogliśmy zrozumieć i nie mogliśmy tej melodii uchwycić. Sam byłem zdziwiony, skąd 80% więźniów, nie znając niemieckiego, tak pierwszorzędnie po niemiecku śpiewa. To było konieczne. Każdy, co mógł, to dodawał.

Po apelu do rozejścia się przyszedł Kurt Müller, kapo ze ślusarni, w poszukiwaniu grawera. Wprawdzie nie miałem pojęcia o grawerstwie, ale jestem metalowcem. Pomyślałem sobie, że jutro wprawdzie mogę dostać porządnie po gębie, gdy nie będę umiał tego zrobić, ale w każdym razie miałem pojęcie, jak wygląda rylec i pomyślałem, że może potrafię sobie dać radę. W każdym razie pół dnia ucieknie. Okazało się, że byłem niezłym grawerem według twierdzenia Müllera i nawet oskarżonego Hößla – gdyż pierwszą moją pracą grawerską była wizytówka dla komendanta, a drugą dla *Oberdienstführera* Emmericha.

Müller zachwycał się, że ma tak wspianiałego grawera. Śmiałem się z niego, ale byłem zadowolony, że w ten sposób mi się udało. Przydzielono mnie więc do ślusarni i pracowałem tam jako grawer. W ślusarni pracował artysta rzeźbiarz w miedzi Heim z Poznania, który mi pomagał i w ten sposób się utrzymałem. I już byłem zwolniony od tego straszego sportu.

Wszyscy koledzy pokaleczyli sobie w straszny sposób nogi. Popuchły im, porobiły się rany. Zgłaszali się do izby chorych, tam polscy lekarze dawali im karteczki, że danemu więźniowi należy dać robotę siedzącą. „Specjalistą” od tej roboty siedzącej był jeden z tych opryszków, bandytów – kapo Konrad, z bielmem na jednym oku. On miał pod swoim dozorem tę robotę siedzącą. Wtedy była robota w kuchni i więźniowie, którzy wykonywali robotę siedzącą, objali cegłę ze starego wapna. Każdy, kto znalazł jakąś kłamrę czy coś podobnego, używał jej, bo innych narzędzi nie było albo po prostu objał jedną cegłę o drugą. Najwięcej zgłaszało się do tej roboty Żydów i oni otrzymywali tę robotę siedzącą.

Otóż Konrad zrobił paliki, powbijał je w ziemię, zakończył tak, że paliki były jak igły i więźniowie, którzy otrzymali robotę siedzącą, musieli siedzieć na takim paliku. Na tym polegała robota siedząca. Jeżeli któryś starał się nogą czy kolanem podeprzeć, jeżeli przyklęknął, Konrad podchodził do niego – a żaden kapo nie chodził bez kija – i uderzał go w kark. Każdy więzień natychmiast kończył życie, rozciągał się, odstawiano go na bok. Na tym polegała robota siedząca. To by było co do sportu.

W naszej grupie z Warszawy przyjechało dwóch umysłowo chorych. SS-mani wyrabiali z nimi rozmaite rzeczy, wyżyli jakieś dwa tygodnie czasu, tak się z nimi bawili. Ulokowali ich na pierwszym bloku – starej numeracji, nie tej, która jest obecnie – gdzie była woda. To był jedyny blok, gdzie był *Waschraum*, cynkowa wanna i kilka kranów. Tych umysłowo chorych włożyli do tej wanny, do nosa lali im wodę i w ten sposób zabili ich w wannie.

We wrześniu 1940 r., ponieważ było za małe pomieszczenie dla ślusarni, przeniesiono ją poza obręb obozu, do dawnej polskiej stajni artyleryjskiej. Tą stajnię artyleryjską uprzętnięto i tam założyli ślusarnię. W ślusarni wykonywało się najrozmaitsze roboty. Na obiad wracaliśmy do obozu. Pora obiadowa to była godzinna przerwa. Kiedy wracaliśmy, zawsze przy apelu był jakiś *Lagerführer*, który odbierał apel. On miał zawsze nam coś do powiedzenia, starał się mówić jakieś 45–50 min, tak że z tej godziny na obiad pozostawało nam tylko 10 min. Wracaliśmy na blok. Wszyscy musieli siedzieć na ziemi, każdy otrzymywał miskę. Nie było łyżek, a kto miał łyżkę, to nie miał miski. Zupę – otrzymywaliśmy wtedy pół litra zupy – dostawaliśmy specjalnie tak gorącą, że więzień nie był w stanie jej spożyć, gdyż pozostawało mu 10 min od zejścia z placu apelowego, a miska musiała być jeszcze umyta. Gdy był gong, wszyscy zostawiali jedzenie, część kolegów jeszcze go nie otrzymała, i szliśmy z powrotem do pracy do godz. 7.00 wieczorem.

Lagerführer Aumeier nie był długo w Oświęcimiu, tylko kilka dni. Potem przyszedł Fritzsch. Podczas apelu Fritzsch zebrał cały obóz, który wtedy liczył ok. 3500 ludzi, i oświadczył w ten sposób: „Inteligencja polska, profesorowie, lekarze, inżynierowie, adwokaci zapisujcie się do kamieniarzy. Zapomnijcie o tym, że kiedykolwiek będziecie pracowali w swoich zawodach, że kiedykolwiek będzie Polska. Uczcie się kamieniarstwa. Po trzech latach wolno wam będzie sprowadzić swoje rodziny, palić papierosy”. Po oświadczeniu Fritzscha było dużo ludzi, którzy się załamali i szli na tych kamieniarzy. Odjechali specjalnym transportem i tam w krótkim czasie życie skończyli. Ci, którzy się nie zapisali, byli bardzo przygnębieni, tak sobie wzięli do serca oświadczenie Fritzscha. Byli jednak tacy więźniowie, którzy mówili: „Nie, ja muszę żyć, muszę przetrwać wszystko”.

W 1940 r. przychodzili też Żydzi. Z pierwszym warszawskim transportem przyszło siedmiu Żydów, którzy byli z nami na bloku kilka dni, potem wcielono ich do kompanii karnej. Od tej pory do 1942 r. przychodzące do obozu transporty Żydów bezpośrednio szły do kompanii karnej. Kompania karna, jeżeli się ktoś do niej dostał, równała się karze śmierci, z tym że jeżeli ktoś otrzymał karę śmierci, został zastrzelony w ten czy inny sposób, to trwało krótko, a w kompanii karnej były męczarnie. Kompania została przeniesiona z bloku 2. na blok 13. Pomiędzy stu kapo, którzy przybyli z Sachsenhausen jako nasi nowi wychowawcy, był, podobnie jak oskarżony Höß, jeden rzekomo misjonarz nazwiskiem Krankemann. On się specjalnie zajmował księżmi i Żydami. Wtedy kompania ciągnęła walec do walcowania drogi po placu apelowym (nie potrzeba go było walcować, ale chodziło o danie więźniom ciężkiego

zajęcia). Za nimi chodził Krankemann. Walec ciągnęli Żydzi i księża. Po przyjsciu na blok – sale na bloku 13. były zupełnie ciemne, podlewane wodą – więźniowie musieli rozbierać się do bielizny, jeżeli ją ktoś miał, bo wtedy bielizny nie było i w stroju adamowym się kładli. Ubranie musieli zostawiać na korytarzu przy drzwiach ułożone w kostkę. Więźniów tych Krankemann zamykał na klucz. Nic dziwnego, że taka kompania bardzo szybko była likwidowana. Władze obozowe starały się zawsze mieć jak najmniejszy stan kompanii karnej.

W 1940 r. na Boże Narodzenie wyszło zarządzenie, że wolno przysłać nam paczki [do] wagi 250 g. Każda matka dla syna czy żona dla męża, nie licząc się z tym, w nadziei, że więzień może dostanie paczkę, przysyłały nawet 5-kilogramowe paczki. Paczki przychodziły i były rozdzielane na bloku 25. przez SS-manów. Byli tacy więźniowie, którym rodziny przysyłały kilka paczek, osiem – dziesięć, tylko że nie na jedno nazwisko, a na adres znajomych, żeby paczki nie pochodziły z jednego domu, bo w ten sposób nie wolno było ich otrzymywać. Przed Bożym Narodzeniem każdy więzień przychodził po odbiór swojej paczki, m.in. i ja. Paczki były zamknięte. SS-man na oczach więźnia otwierał paczkę. Przeważnie – ponieważ przysyłały je rodziny katolickie na święta Bożego Narodzenia – matka z synem chciała podzielić się opłatkiem, więc prawie w każdej na wierzchu leżał opłatek. Ten więzień, który otrzymał opłatek, był nieszczęśliwy. Strasznie go bito i paczki nie otrzymał, tylko opłatek. Kiedy taki więzień został pobity, to gdy przyszła następna paczka, nie zgłaszał się po nią. Jeżeli się zjawiał, to myślał: „Daj Boże, żeby nie było opłatka”. Jest opłatek. Znowu bicie. W której paczce nie było opłatka (przeszukiwano paczkę), więzień mógł otrzymać tylko chleb, resztę SS-mani odkładali na bok. Tak już czatowali jak hieny kapo, których było podówczas w obozie 130 i dożywiali się porządnie.

Muszę jeszcze zaznaczyć, że jedzenie kapo nie było takie samo jak więźniów. Dla nich był specjalny kocioł w kuchni, było to tzw. kapowskie jedzenie. Paczki, które zostały odebrane więźniom, zabierali SS-mani i kapo.

W 1940 r. wśród tych bandytów kapo byli ludzie bez żadnych uczuć, szukali takiego więźnia, który ma złote zęby. I w 1940 r. wszyscy, którzy mieli złote zęby, zginęli. Liczba zabitych dla każdego kapo nie odgrywała żadnej roli. Im więcej zabił – [tym] był lepszy. Dostawał nawet specjalne uznanie od kierownictwa obozu.

W 1940 r. był tak straszny głód w obozie, że ludzie chodzili po śmietnikach, wybierali z nich najrozmaitsze obierki, zgniłą brukiew, marchew.

Wtedy pracowałem poza obozem – w ślusarni. Byłem prawie codziennie w krematorium I, które miało tylko dwa piece i niewiele ludzi mogło spalić. Kładziono trzy, cztery trupy – zależnie od tego, czy to był muzułman, czy dobrze wyglądający więzień. Przy takiej temperaturze ruszty często się przepalały i trzeba było codziennie reperować. Od reperacji tej była tylko ślusarnia. Można więc było zaobserwować wszystko, co się tam działo. Chodzili tam: Szablewski Stanisław, Maliszewski Stefan, Kostkowski Zygmunt i ja.

W tym krematorium palono początkowo zwłoki, których prochy wysyłano w puszkach do domu. Muszę wspomnieć, że każdy przychodzący więzień otrzymywał numer i jednocześnie puszkę blaszaną w drewnianej skrzynce ze swoim numerem. Te puszki były na rewirze SS-manów, tuż przy krematorium, na strychu. Poszedłem tam, zobaczyłem swój numer na puszcze. Pomyślałem: „Muszę się zmieścić w takiej puszcze”. Wyrzuciłem ją wówczas.

Zdarzało się, że rodziny, których członkowie byli w Oświęcimiu, powiadali: „Co oni mnie tutaj zawiadamiają, że mój syn umarł na zapalenie płuc, i przesyłają mi prochy w puszcze” – [i] oddawano te prochy do badania. Lekarze oświadczyli, że to są prochy cielęce czy wieprzowe. Taka matka pocieszała się, że ją okłamano. Skąd to powstało? Początkowo, kiedy palono zwłoki pojedynczo, to wysyłano prochy właściwe. Potem, jak palono po trzy, cztery jednocześnie, to pozostałości rzucano do dwóch skrzyń na koks, które stały przed krematorium. Palenie nie trwało dłużej niż 15 min, nie wszystko się więc spalało. Korzystali z tego i więźniowie. Z kości można było coś odgryźć. Przychodzili i wybierali z tych skrzyń. Ale było i tak: do uboju z Oświęcimia czy z okolic Oświęcimia przychodziły chore zwierzęta do małej rzeźni. Zbadane przez weterynarza mięso nienadające się do użycia wysyłano do krematorium i palono je w tych samych piecach. Pozostałe kości wsypywano również do tych samych skrzyń. To było powodem, że w wyniku badań znajdowano w prochach przysyłanych z Oświęcimia również szczątki zwierzęce.

W 1940 r. na jesieni właściwych prochów w puszkach nie wysyłano, tylko brano z owych skrzyń. Wszystko jedno, jakie to były kości.

W 1941 r. przychodziły różne transporty. Zaczęto robić różne komanda, m.in. komando Bauhof. Liczyło ono ok. 500 ludzi. Z tego komanda brakowało codziennie 60–100 ludzi, którzy byli przez kapo i SS-manów zabijani. Reszta kolegów, która jeszcze żyła,niosła zabitych. Apele wieczorne nieraz bardzo długo trwały, więc czekano nawet godzinę na ten

marsz komando Bauhof. Ponieważ wszyscy więźniowie czekali i obserwowali, więc wlokąca się kolumna dostała przezwisko: „czołgi idą”. Co to były te czołgi? To było po czterech ludzi, którzy nieśli swoich zamordowanych kolegów. I to była szalenie długa kolumna, która przychodziła do obozu. Tych ludzi odnoszono bezpośrednio do składu trupów, który się mieścił wtenczas na bloku 28., w piwnicy.

W 1941 r. stworzono jeszcze jedno komando. To było komando psów. Niemcy sprowadzili wilczury i codziennie rano i popołudniu wybierali sobie więźniów i przy ich pomocy pomiędzy świniarnią a ślusarnią, tuż obok ślusarni, szkolili te psy. Więźniom kazali uciekać i wtenczas puszczali psy. Te szarpały więźniów, przez co codziennie 20–30 więźniów było przez nie poszarpanych. W ten sposób w Oświęcimiu szkolono psy, które miały pilnować więźniów.

W 1941 r. zaczęło się rozstrzeliwanie, egzekucje. W lipcu 1941 o godz. 4.30 rano przyszli jeńcy rosyjscy. Ustawiono ich przed kuchnią, 50 z nich zostało zabitych za kuchnią; 60 pozostałych przy życiu w sobotę odprowadzono na blok 11. Tam odbyło się pierwsze gazowanie. Na bloku 11. włączono jeszcze ze szpitala 260 chorych, których w sobotę wieczorem przynieśli pielęgniarze po uprzednim zrobieniu im opatrunków – to byli przeważnie chorzy na flegmony – i osadzono ich na bloku 11., w piwnicy. W niedzielę, w godzinach popołudniowych, kiedy wszyscy więźniowie mieli czas wolny, a więc siedzieli w piasku, wystawiając do słońca swoje kości i rany, przechodził *Rapportführer* Palitzsch przez plac apelowy w kierunku bloku 11. z maską przeciwgazową. W jego towarzystwie był wysoki SS-man, blondyn, przezywany przez więźniów „Dusicielem”. W kilka minut później wrócili szybkimi krokami, niosąc ze sobą dwie puszkę. To były puszkę większe niż maska przeciwgazowa, tegoż koloru co ona. Z puszkami pobiegli na blok 11. Wyciągnięto więźniów z tego bloku i zamknięto ich w komorze gazowej. Otworzono ją w poniedziałek. Ponieważ ludzie jeszcze żyli, zagazowano ich powtórnie. Pielęgniarze przewieźli zwłoki do Brzezinki, do dołowania, ponieważ krematorium nie mogło nadążyć z paleniem.

Do ślusarni przyszło zawiadomienie, żeby kapo Müller zgłosił się na blok 11. po metal. Co to był za metal? Wydawało się SS-manom, że to są rzeczy, które nam się przydadzą. To był nikiel, to były monety po zagazowanych Rosjanach. Było niepełne wiadro tych monet. Poszedłem po nie. Zauważyłem, że na tych więźniach robiono próbę nie cyklonem – tego gazu jeszcze nie znano. Widziałem pozostałe w komorze krążki wielkości podstawek do piwa, tekturowe. Znajdowały się one w puszcze – i to one były rozsypane. Jaki to był gaz – nie wiem.

W 1941 r. wolno było w obozie mówić tylko po niemiecku, Polakom nie wolno było mówić po polsku. Tylko pomiędzy sobą mogli mówić po polsku. Zrobiono w kuchni olbrzymi napis: dziesięć przykazań. „Es gibt einen Weg zur Freiheit” – „Jest tylko jedna droga do wolności”. Były przykazania, których nie pamiętam, powinien je doskonale znać oskarżony, prosiłbym, żeby je powtórzył. Ostatnie dwa przykazania: ofiarność „und Liebe zur Vaterland” – Polaków nie obowiązywały, Polakom kochać ojczyzny nie było wolno, to dla Polaków było zniesione.

W 1942 r. Höß interesował się ślusarnią, [w tym] przeważnie narzędziami zbrodni. Osobiście przychodził do nas do ślusarni. Na jego zamówienie robiliśmy różne rzeczy, on sam specjalnie dopilnowywał. Przez ślusarnię zostały częściowo wybudowane wszystkie krematoria. Same urządzenia były sprowadzane, ale sztaby do ściągania pieców, ruszty, wszystkie roboty żelazne zostały wykonane przez ślusarnię. Zrobiliśmy m.in. windy, którymi wyciągało się trupy już po przeszukaniu ich w pokoju lekarskim. Z sali zagazowanych każdy trup szedł do pokoju lekarskiego, gdzie był szczegółowo obszukiwany, czy nie ma złotych zębów, kobiety – czy nie mają ukrytej biżuterii. Zrobiliśmy również drzwi do komór gazowych. Tymi rzeczami Höß specjalnie się interesował. Przedtem jeszcze było małe krematorium, do niego zrobiono w Oświęcimiu wentylator, zbudowany w naszej ślusarni. Przy jego budowie pracowali: Stefan Maliszewski, Stanisław Szablewski, Mieczysław Stecisko i ja. Pracowaliśmy do godz. 12.00 w nocy. Przed 12.00 w nocy złożył nam wizytę Höß w towarzystwie Grabnera. Popędzali nas strasznie, że to jeszcze nie jest skończone. To był wentylator, który służył do wietrzenia komory gazowej, tak był wykuty otwór i wbudowano ten wentylator, który wyciągał gaz. W towarzystwie SS-manów przed godz. 12.00 pobiegliśmy z tym wentylatorem do krematorium, przykręciliśmy go i SS-mani odprowadzili nas do obozu. W drodze do obozu spotkaliśmy ok. 300 mężczyzn biegnących w kierunku krematorium. Byli to Rosjanie, ponieważ rozmawiali w języku rosyjskim. Tam wtenczas w tę noc zostali zagazowani.

Jeszcze powrócę do 1940 r. W zimie 1940 r. przywieziono ok. 40 Polaków z Górnego Śląska. Przywiezieni zostali autobusem. Przebrani byli w stare więzienne ubrania, bez obuwia i bez czapek. Ręce mieli skute na plecach. Pierwsze rozstrzeliwania, pierwsze egzekucje odbywały się tuż za ślusarnią. To było tuż za obozem, tam była stara rzeźnia. Obecnie stoi tam nowa rzeźnia. Było tam pięć palików wbitych w ziemię, do palików były wkręczone kółka. Każdy więzień klęczał przy takim paliku twarzą do plutonu – rozstrzeliwały jeszcze wtedy plutony egzekucyjne – ręce miał przywiązane z tyłu do palika. Było tam kilka takich rozstrzeliwań po najwyżej osiem – dziesięć osób. Kiedy przed oknami ślusarni pod te słupki podjechał

autobus, wysiadło z niego 40 osób. Ludzie ci stali na śniegu. Przyjechał oskarżony Höß i powiada do nich w ten sposób: „Jesteście ułaskawieni, zamieniam wam karę śmierci na dożywotnie więzienie”. Autobus odjechał i ci ludzie zakuci wrócili na teren obozu, dostali czerwone punkty i zostali wcieleni do *Soderkommanda*, z tym że tworzyli osobną grupę. Byli bez bielizny w drelichach, boso, bez czapek. Mróz był ponad 20 stopni. Dostali robotę siedzącą: obijanie cegieł z piasku. Musieli siedzieć cały dzień bez poruszenia. Wszystkich 40 skończyło w trzy-cztery dni życia. Höß uważał, że dla nich kara rozstrzelania będzie za lekka, że to nie będzie odpowiedni wymiar kary i że trzeba im ją odpowiednio przedłużyć. W 1941 r. więźniowie w ślusarni zaczęli budować obóz w Brzezince. To byli ludzie, którzy rozchodzili się co dzień, byli odkomenderowani i mieli możliwość chodzenia po całym obozie, więc bardzo dużo rzeczy obserwowali i byli naocznymi świadkami różnych zdarzeń.

W ślusarni złożył zamówienie Höß, żeby do jego ogrodu zrobić sztuczny deszcz. Kapo Kurt Müller, któremu Höß obiecywał zwolnienie i możliwość pracy jako cywilnemu pracownikowi, był bardzo gorliwy i rzeczywiście chciał dla Hößa coś zrobić. Zwrócił się do mnie, żebym zrobił taki sztuczny deszcz. Nie sprawiło mi to żadnych trudności, ponieważ to nie jest nic specjalnego: zwyczajny wałek z rurkami wypływowymi w spirale, woda rozbijała się o brzegi kosza i otrzymywało się sztuczny deszcz. Müller odniósł to Hößowi. Po kilku dniach przychodzi do mnie i powiada: „Słuchaj, musisz zrobić coś takiego, żeby w fontannie u Hößa woda, która spada na dół, tworzyła swastykę”. Nie znałem się zupełnie na tym, to było dla mnie niewykonalne, powiedziałem jednak: „Dobrze”. Pomyślałem, że to jest techniczną niemożliwością. Müller to człowiek uparty, bałem się dostać w skórę, zrobiłem więc tę swastykę. Müller poszedł do Hößa, a gdy wrócił, dostałem po głębie. Nawymyślał mi: „Du blöder Mensch, idioten Mensch”. Okazało się, że zamiast swastyki wychodzi krzyż. Nie miałem możliwości zrobić załamania. Müller był bardzo zdenerwowany.

Dużo różnych wspaniałych rzeczy otrzymywał Höß ze ślusarni. W czasie mojej kariery grawerskiej i współpracy z Heimem otrzymał m.in. wspaniałą lampę: „Cztery pory roku”, wykutą w miedzi – wiosna, lato, jesień i zima. Był to kwadrat wykuty w miedzi, u podstawy były cztery pory roku. Pracowaliśmy nad tym trzy miesiące.

Wreszcie Müller został zwolniony jako cywilny pracownik.

Po zwolnieniu Müllera przyszedł do nas nowy kapo. Bił w straszliwy sposób. Ale Müller był jeszcze kierownikiem warsztatów. Pewnego razu przyszedł do nas ze szramą na czole. Pytamy,

co się stało. Opowiedział, że był w Oświęcimiu *Lagerführer* Seidler. Müller jako zwolniony miał już prawo wstępu do kantyny. Raz poprosił, żeby mu sprzedano wódkę. Odmówiono mu. W tym czasie przychodzi Seidler, żąda wódki i dostaje ją. Müller widząc, że dla Seidlera jest wódka, a dla niego nie, zwraca się do sprzedającej z pretensją. Wtedy Seidler odzywa się: „Ty jesteś więźniem, ty bandyto, dla ciebie nie może być nic”. Müller zdenerwował się i uderzył go, mówiąc mu: „Ty jesteś bandytą.” Seidler wyjął pistolet i strzelił, Müller dostał strzał w czoło tak, że tylko miał skaleczenie. Wtedy Müller został zamknięty na bloku 17. w więzieniu.

Müller był zwariowany na punkcie wynalazków i zwracał się o różne rzeczy do więźniów, zwrócił się do inżyniera Kulińskiego, dyrektora Mościc, więźnia nr 1005, żeby mu zrobił konstrukcję kotła parowego, który będzie opalany miałem i gazem z tego miału. Inżynier Kuliński robił mu szkice, dawał, a on okłamywał SS-manów, że pracuje nad jakimś wynalazkiem. Höß przychodził i zachwycał się swoim zdolnym Müllerem, wydawało mu się, że to jest opracowywane przez Müllera. Wtedy Müller już nie siedział w bunkrze, a z *Oberscharführerem*, który miał służbę na 11. bloku. Myśmy mieli możliwość przychodzenia do niego z różnymi radami technicznymi co do jego wynalazków. Byłem m.in. na bloku 10. Blok ten jeszcze nie miał zabitych okien, to zrobiono dopiero wtedy, kiedy do obozu zostały przyprowadzone kobiety. Widzieliśmy masę rozstrzeliwań, które się odbywały na bloku 11. Byli rozstrzeliwani Rosjanie, jeńcy wojenni. Przyszli oni do Oświęcimia w liczbie 13 tys. Tych, którzy nie wyginęli na tyfus, pędzono na rozstrzelanie przeważnie nago. Siedzieli oni w nieopalanym blokach i bardzo dużo ich wyginęło. Tych ludzi rozstrzeliwano dużo na bloku 11. również nocą. Zawsze po godz. 9.00 przeprowadzano kilkuset ludzi nago na blok 11. na podwórze.

Ponieważ na bloku 10. mieszkało 800 ludzi, było niemożliwością spać. Spanie wyglądało w ten sposób, że wszyscy nie mogli się położyć. Stał blokowy Alfred ze Śląska, *reichsdeutsch*, z kijem, i kijem układał nas do spania. Ustawialiśmy się pod ścianą, dwa metry od niej, na siennikach gęsiego, jeden plecami do drugiego i wszyscy na komendę mieliśmy się obracać, żeby się bokiem zmieścić. Dlatego ja, Maliszewski, Walczak, Szablewski przenieśliśmy się spać na korytarz. Było zimno, wzięliśmy taborety, ułożyliśmy na nich sienniki, przytuliliśmy się i tam spaliśmy na korytarzu. Całą noc do godz. 4.00 rano strzelał z pistoletu Palitzsch do tych więźniów rosyjskich. Z *Waschraum*u, bo trudno było zachodzić, gdy więźniowie spali, gdy były egzekucje, więźniów przesuwano na drugą stronę, widać było jak układano trupy w szachownicę, olbrzymie stosy trupów.

Pewnego razu byłem na budowie na bloku 21., który był podniesiony o piętro i pokryty papą. Na górze były odwietrzniki, przy których pracowaliśmy. Okucia przy kominach robili blacharze, żeby woda nie ciekła. Byłem za kominem, skąd doskonale było widać, jak odbywało się takie rozstrzelanie. Blokowy wyprowadzał dwóch więźniów – wtedy jeszcze rąk więźniom nie wiązano – i Palitzsch stawał za każdym więźniem i z małokalibrowej broni, w której mieściło się 15 naboju, wiem o tym, bo ją przerabiał u nas w ślusarni, z odległości 5–6 cm strzelał w tył głowy. Ci więźniowie to byli przeważnie aryjczycy. Blokowy podprowadzał pod rękę dwóch więźniów. Każdy aryjczyk przed śmiercią się żegnał – gdy zrobił jeden krzyż, Palitzsch mówił: „Noch einmal”, więzień podnosił rękę, padał strzał, blokowy puszczał trupa – następny.

Po kilku tygodniach, kiedy na bloku 11. rozstrzelano w dzień resztki prawie jeńców rosyjskich, wtedy był przy doprowadzaniu więźniów jeden rzekomo Ukraińiec zwany ruski, na imię mu było Wacek. To był „osobisty” Krankemanna. Gdy wyprowadzano jednego dobrze zbudowanego Rosjanina, ten się rzucił na Palitzscha i chciał go zabić. Wtedy Wacek łopata, którą równał ziemię, uderzył tego Rosjanina, przeciął mu głowę, zabijając na miejscu. Od tej pory wszyscy więźniowie, którzy szli do rozstrzelania, mieli związane ręce.

W 1942 r. obóz męski przegrodzono płytami, a w kilka dni później przyszedł transport 900 kobiet. Było w nim kilka Polek, ale przeważnie Niemki z czarnym trójkątem. Pewnego dnia o godz. 5.30 rano do tego przygotowanego obozu przyszedł transport kobiet, Żydówek z Czechosłowacji. Doprowadzono te Czechosłowaczki pod bramę z ich prawie że całym dobytkiem i dziećmi. Było przy tym kilku oficerów, m.in. Höß oraz Schwarz – *Arbeitsdienstführer*, [który] miał stopień *Obersturmführera*. Podjechał samochód, który służył do przewożenia bydła – olbrzymi, 8-tonowy, wysoka skrzynia – i zaczęto odbierać dzieci od matek. Każdej matce było się trudno rozstać z dzieckiem, SS-mani szamotali się z matkami. Myśmy byli oddzieleni tylko drutami od tego transportu, to była godz. 5.30, mieliśmy jeszcze kilka minut do gongu, byliśmy na bloku, więc mogliśmy obserwować – osobiście, własnoręcznie Höß odbierał dzieci od matek i wrzucał [je] do samochodu z tego pierwszego transportu. My z ciekawości, by choć przez mur zobaczyć kobiety, bo już więźniowie nie widzieli ich tak długo, szukaliśmy robót, jakiegoś zajęcia, ażeby być na tych blokach podczas dnia pracy. Wybraliśmy się w kilku do roboty na męski obóz do naprawy wody. Przyszliśmy tam, była godz. 10.00. Poszliśmy na górę bloku obecnie 15. i ze strychu widzieliśmy kobiety przez parkan. Wszystkie były rozebrane i w pozycji leżącej przed blokami. *Obersturmführer* Schwarz w gumowej rękawiczce sprawdzał każdą kobietę. To był pierwszy transport.

Kobiety ubrane w rosyjskie mundury, spodnie i bluzy pracowały tuż za ślusarnią przy plantowaniu ziemi pod nowe budynki.

W 1943 r. stworzono blok 10. na terenie obozu. W ślusarni pojawił się m.in. lotnik *Obersturmführer* z wysokim tytułem *Obermedizinalrat*, prof. dr Schumann, w poszukiwaniu mechanika do jego aparatu rentgenowskiego. Ponieważ w moich dokumentach z *Politische Abteilung* znalazł, że jestem mechanikiem, zwrócił się do mnie, czy mogę naprawić aparat. Powiedziałem, że nie jestem elektrotechnikiem. „Przecież zna pan elektrotechnikę”. „Znam, ale jeżeli chodzi o aparat rentgenowski, to zupełnie nie”. Powiada: „Damy panu elektrotechnika”. Dano mi Czecha Ślązaka Stanisława. On jako elektrotechnik pracował wspólnie ze mną przy aparatach rentgenowskich. Było przy tym trzech inżynierów od Siemens. Aparaty były umieszczone na bloku 30. obozu kobiecego w Brzezince. Z tego tytułu znałem szczegóły wszystkich akcji na terenie Oświęcimia. Od Schumanna miałem specjalną przepustkę [informującą], że mogę wszędzie chodzić i że mogę zabierać z *Blockführerstube* posta SS-mana, który prowadził mnie, gdzie mu powiedziałem, i dlatego mogłem niektóre rzeczy zobaczyć i przynieść, i chodzić, gdzie chciałem.

Aparaty te zainstalowano i uruchomiono. Ów Schumann ze szramą na twarzy powiedział, że aparaty muszą działać sprawnie, że są do leczenia raka. Aparaty były olbrzymie, wagi 1,5 kg każdy. Rentgeno-bomby były wyłożone ołowiem. Wewnątrz takiej bomby znajdowała się kabina, wybita od wewnątrz ołowianą blachą grubości 8 mm i [z] dwiema ołowianymi szybami do obserwowania pieca. Aparat znajdował się w kabinie, sama aparatura poza nią. Schumann miał doskonałe pole obserwacji. Mógł obserwować, jak pacjent się zachowuje. To była aparatura wysokiego napięcia, 250 000 V, 40 mA, używana była do sterylizacji. Jak wyglądała sterylizacja takim aparatem? Sterylizowana kobieta była rozbierana, stawiana na taboret i naświetlały ją dwa aparaty: jeden z przodu, drugi z tyłu. Kobieta miała zawieszony miedziane blaszki i zależnie od obliczenia każda była w aparacie pięć – sześć minut. Dostawała 220 000, 150 000 V i 20 mA. Różnie było, robiono doświadczenia. Każda sterylizowana kobieta dostawała wymiotów. Było to bezbolesne, jednak były wymioty. Sterylizowano prawie codziennie, do południa 10 kobiet i popołudniu 10. Ale nie odbywało się to codziennie. W rozmowie z Schumannem – ponieważ przy pracy jego stosunek do mnie był inny, jak stosunek więźnia do innych oficerów, [Schumann] odnosił się do mnie jako do swego pracownika – dowiedziałem się m.in., w jaki sposób znalazł się w Oświęcimiu. Mianowicie jako lotnik został zestrzelony w myśliwcu nad Londynem. Był w obozie dla jeńców wojennych

i został wymieniony podczas wymiany jeńców, z tym że nie będzie latał jako lotnik. Hitler przydzielił go do tych robót, ponieważ był *Obermedizinalrat*, profesorem doktorem.

Jak odbywała się sterylizacja u mężczyzn? Naświetlał ich tylko jeden aparat. Rozebrany mężczyzna stawał na taborecie. Aparat był obrotowy – zwracano aparat na jedno jądro, drugie jądro było przysłonięte 10-milimetrową ołowianą płytką. Zostało spalone jedno jądro. Tych więźniów Schumann dobierał sam osobiście, z którego obozu chciał. Każdy taki więzień po miesiącu był przez niego kastrowany. Wycinano mu to jądro, które poprzednio naświetlano z góry. Wkładano je do słoika i odsyłano do Berlina celem przeprowadzenia badań, czy dostatecznie jest spalone.

Jak się odbywało leczenie raka? Leczenie raka odbywało się na cyganach. Przeważnie brano dzieci, gdzieś od 5 do 15 lat. Starszych cyganów tam nie było. Tylko w takim wieku szukano ludzi. Takiemu wybranemu cyganowi wszczepiano raka w usta. Więźniowie mieli więc olbrzymie rany, po prostu ciało odpadało. Byli tacy, którzy policzków i dziąseł po prostu nie mieli. Oni byli w tych aparatach naświetlani i leczeni. Oczywiście wszyscy, którzy byli brani do doświadczenia, zostali zniszczeni przez zagazowanie.

Pewnego razu Schumann zwrócił się do mnie i powiada: „Słuchaj, czy chciałbyś iść na wolność?”. Mówię: „Ciekawe pytanie, któż nie chce iść na wolność. Naturalnie, że chcę”. On na to: „Mogę [sprawić], żebyś poszedł na wolność”. „Jaką?”. „Zapisz się na reichsdeutcha, będziesz mógł iść na wolność i będziesz pracował u Siemens”. „Jakże ja mogę być reichsdeutchem, kiedy jestem z krwi i kości Polakiem?”. „To ja już załatwię”. „Namyszę się, ale mam swój kręgosłup, jestem Polakiem i zostanę Polakiem”. On starał się mnie przekonać i powiada: „Przecież widzisz, aparaty doskonale działają, po 40 latach Polaków już nie będzie, bo się ich zagazuje, a resztę wysterylizuje. Będą używani tylko jako siła robocza. Po 40 latach całe polskie pokolenie zginie”. Nie dałem mu na to żadnej odpowiedzi. Ślązakowi, który pracował ze mną, kilkakrotnie zwracałem uwagę: „Uważaj, po co ty tu jesteś, kiedy robisz doświadczenia sterylizacyjne. Uważaj, żeby to nie odniosło jakichś skutków na tobie”. Sam zawsze, kiedy robili doświadczenia, starałem się nie być [przy tym], nawet kiedy aparat się zepsuł. Skutek był taki, że owego Ślązaka, kiedy wszystkich Czechów wywozili z Oświęcimia, zatrzymała *Politische Abteilung*, biuro polityczne. Ślązak wówczas został w obozie w Brzezince i 5 stycznia 1945 r. został wysłany do Mauthausen razem z Polakami, którzy pracowali w krematorium. Po moim ewakuowaniu do Mauthausen starałem się dowiedzieć,

co się z nim stało. Dowiedziałem się, że skończył życie przez rozstrzelanie, jak i wszyscy Polacy, którzy pracowali w krematorium.

Pewnego razu umówiliśmy się ze Ślązakiem, że zepsujemy aparat. Jeśli oba aparaty zepsujemy, to nam w łeb palną, ale jeden możemy zepsuć, żeby przynajmniej kobiet nie sterylizowali. Do aparatu należała jeszcze olbrzymia pompa napełniona oliwą, a także spiralna rurka, która znajdowała się w oliwie. Przez rurkę przechodziła zimna woda, która chłodziła oliwę. Przewody elektryczne miały ok. 30–35 mm w przekroju, przez środek przewodu płynęła oliwa, która chłodziła. W tym aparacie były zamontowane wyłączniki, kiedy była za wysoka temperatura, to wyłączniki automatycznie wyłączały [aparat]. Odsłoniliśmy w tym aparacie jedną pompę, zrobiliśmy kilka dziur w dachu i nalaliśmy wody do oliwy. No i oczywiście rentgen się przepalił. Dochodzenie robił Schumann. Zauważył, że jest woda, ale mieliśmy na usprawiedliwienie, że deszcz padał, a tutaj jest nieszczelnie. Wina jest nasza, że kiedyśmy pracowali, to nie zamknęliśmy szczelnie pompy. I to nam się upiekło. Więc jeden aparat był czynny, a drugi stał beczynny. W listopadzie 1944 r. zostały te aparaty zdemontowane i wywiezione. To byłoby wszystko co do aparatów rentgenowskich.

W 1942 r. do Oświęcimia przyszedł transport Francuzów, 1100 komunistów, za sprawy swojej ojczyzny. Przyjechali jesienią, zima była straszna, a i wiosną 1943 r. było tak zimno, że w maju ludzie odmrażali ręce. Ci Francuzi byli niedostatecznie odziani, wielu z nich zaziębiło się i umarło. Pozostali z nich tylko ci, których uratowaliśmy. Więźniowie darzyli ich dużą sympatią – w całym naszym obozie było zaledwie kilku Francuzów, więc w granicach możliwości opiekowali się nimi, ale wtenczas jeszcze możliwości dużych nie było. Więźniowie pracowali pod gołym niebem, deszcz padał, nie było gdzie wysuszyć ubrań, kładło się wieczorem mokre pod głową i rano ubierało się w mokre.

Wszy były straszliwe. Ja sam w ciągu pół godziny, łapiąc wszy na mojej koszuli, naliczyłem ich 132. Za pół godziny po położeniu się można było znowu taką samą porcję złowić. Po prostu były ich gniazda. Kiedy zaczął szaleć straszliwy tyfus – przeciętna śmiertelność wynosiła dziennie 700 osób – kierownictwo obozu postanowiło zrobić odwszenie. Jak wyglądało takie odwszenie? Byliśmy wtenczas na bloku 10. Było to 22 stycznia – mróz 22 stopni. Przeszedł rozkaz: blok 10. na odwszenie. Wszyscy rozebrani biegiem do tej łaźni, do *Waschraumu*.

W *Waschraumie* spadało kilka kropel wody bez mydła, bez niczego – ale to było nieważne – najważniejsze było skoczyć do beczki z chlorkiem i zimną wodą i potem... na ulicę. Nasz blok

liczył wtedy ponad 600 ludzi. Blokowym był Skrzypek. Mieliśmy być potem przeprowadzeni na blok 22. Trzeba więc było czekać dość długo, aż cały blok się wykąpie, ażeby można nas było policzyć. Skrzypek zdaje się nie umiał liczyć nawet do 10 i to liczenie bardzo mu ciężko szło. Ustawiał nas piątkami, ale każdy był zziębnięty i skakał, więc wciąż mu się zdawało, że nie ma wyrównania tych piątek, wpadał z kijem i tłukł więźniów. Znowu więc cały blok się rozpierchał, żeby nie dostać kijem, i trzeba było z powrotem ustawiać. Już dochodziło do końca, kiedy znowu mu się ktoś gdzieś pomylił i znów straszne przekleństwa, rozpędzanie i znowu wszystko na nowo.

Wreszcie jakoś się liczenie skończyło, przeprowadził nas na blok 22. Były tam łóżka, ale bez sienników. Każdy z nas wysmarowany był terpentyną czy czymś podobnym i na tych deskach siedzieliśmy jak małpki, po ośmiu – dziesięciu na łóżku. Na sali zrobiliśmy wszyscy „kosz”, tak że po dwóch staliśmy plecami do siebie, a ci co zostali na zewnątrz, zmieniali się co pewien czas. I tak grzaliśmy się wzajemnie. Nie można było okna zamknąć, bo musiało być świeże powietrze, żeby więźniom nie zaszkodziło. Wtedy zachorowało około stu ludzi, z których niewiele się uratowało.

Jeżeli chodzi o gazowanie, sytuacja wyglądała w ten sposób: panował w tym okresie szalony tyfus na blokach, przeprowadzano więc selekcje. Jak się odbywała ta selekcja? SS-man dostawał polecenie od komendanta Hößa, że na bloku liczącym, powiedzmy 5000 ludzi, ma być zlikwidowanych przez lekarza obozowego nazajutrz 2000–3000. Lekarz starał się wybierać takich, którzy gorzej wyglądali, którzy byli rzeczywiście chorzy i wcześniej czy później życie by skończyli. Jeżeli więc to robił lekarz, to jeszcze można było kogoś uratować, a jeżeli przyszedł SS-man i lekarz niemiecki, odliczało się po prostu i człowiek, który mógł być jeszcze zdolny do pracy, był ładowany z innymi na samochód i zabierany. Z jednego z takich transportów, który odchodził do gazu, udało nam się m.in. uratować przy pomocy drugiego więźnia, Stefana Maliszewskiego, więźnia Przyszychowskiego z Warszawy i Steciwkę. Steciwkę udało nam się ściągnąć z samochodu i przykryć blachą ślusarską. Była już na nim tylko skóra i kości. Przyszychowskiego odratować się już nie dało. W ten sposób zginął w Oświęcimiu więzień Przyszychowski z Warszawy.

Selekcji dokonywano również przy odwszeniu. Kiedy kobiety przeniesli do Brzezinek, w obozie kobiecym pozostały miliardy pcheł. Więźniowie pracowali tam zupełnie bez ubrania. Nie było na tych ludziach jednego miejsca, które by nie było pokąsane. Przeprowadzono więc

odwszenie, w pierwszym rzędzie na tym odcinku obozu kobiecego. Wtedy to zrobiono nam strzyżenie, golenie, kąpiel i przeszliśmy nago na tamten obóz. Każdy więzień przychodził nago przed lekarza, którym był więzień, SS-mana i *Blockführera*. Każdego oglądano. Jeśli wyglądał dobrze, nie miał żadnej rany na ciele, mógł się uratować i pozostać w obozie, bardzo wielu jednak więźniów wtedy poszło do gazu.

Ostatnią selekcję, która była w obozie, przeprowadzał *Blockführer* Kaduk. Kaduk przeprowadzał tę selekcję w *Waschraumie*. Siedział na krzeselku pijany, z laską, obok krzesła stało pół litra wódki. Asystentem był *Rapportführer* Krause, ale siedział i prawie nic nie mówił, a selekcję przeprowadzał Kaduk. Jeśli więzień się Kadukowi podobał, szedł na prawo, jeśli [się] nie podobał – na lewo. Tak się odbywała selekcja. Po selekcji zabierano tych ludzi na blok 11., a stamtąd samochodami do komór gazowych w Brzezince.

Jeżeli chodzi o roboty do komór gazowych, które były robione u nas w ślusarni, gdzie specjalnie tymi robotami interesował się Höß, to były to drzwi. Jedne z nich były specjalnie robione z wizjerami, żeby mógł patrzeć na swoje ofiary. Höß przyszedł do ślusarni i próbował, czy szkło jest pancerne, czy jest możliwość zbitcia tego szkła, przekonał się, że nie ma możliwości zbitcia, więc wszystko było w porządku.

Następnie Höß uważał, że fabryka śmierci idzie za wolno. Nie wiem, co go pobudziło do tego, ale mnie się wydaje, że chodziło tu o ilość zużytego cyklonu i szybkość uśmiercania ludzi w komorach. W ostatnich czasach w 1944 r. Do komory gazowej wrzucano tylko jedną puszkę. Były przewidywane wtedy jeszcze bardzo duże transporty.

Przewodniczący: Zarządzam kilkuminutową przerwę.

(Po przerwie).

Świadek: Na zamówienie Hößa w ślusarni zostały wykonane słupy gazowe, które służyły do gazowania. Słupy były wysokości 2,5 m, średnicy przelotu wewnętrznego kwadrat 150 mm, następna odległość 30 mm przestrzeni, trzecia przestrzeń 15 mm. Siatka, jakiej się używa do okien, koloru zielonego; pomiędzy siatką i blachą była odległość 15 mm. To wszystko miało ok. 1,5 m wysokości. U wylotu tej siatki był stożek tzw. rozdzielczy. Takich słupów wykonaliśmy siedem sztuk. Słupy zostały wstawione do komory gazowej tuż przy otworze, gdzie przedtem do komory wrzucano puszkę z gazem. Pod tym otworem słup wstawiono,

gaz był wsypywany bezpośrednio na stożek rozdzielczy. Stożek był po to, żeby równomiernie w te cztery szczeliny 15-milimetrowe gaz wciskał się między blachę a siatkę, wtedy była większa powierzchnia parowania gazu. W ten sposób można było szybciej uśmiercić ofiary. Jak wyglądała taka komora gazowa? W jednym krematorium była obliczona na 2500 ludzi, druga, mniejsza, na 1500, w tym samym krematorium. Pracownicy ślusarni, więźniowie budowali te komory. Komora miała wysokość ponad dwa metry, w górze były prostokątne zamykane kanaliki, były to odwietrzniki, skąd wentylatory wypychały gaz. Cyklon jest lżejszy od powietrza, więc się szybko po zagazowaniu ulatnia. Były robione prowizoryczne tusze, tak że to miało charakter łaźni. Paliły się lampy, podłoga – betonowa – była zawsze mokra. Po zagazowaniu ludzi beton zmywali więźniowie z *Sonderkommando*. To byli więźniowie Żydzi, którzy przeznaczeni byli do wykonania tej pracy, *Sonderkommando* przeważnie co trzy miesiące było niszczone, zagazowane, ale nie w Oświęcimiu, tylko gdzieś w okolicach Gliwic. Dowódcą tego komanda był *Hauptscharführer* Moll, największy okrutnik, jakiego sobie tylko można wyobrazić. Oprócz tego w krematorium była między tymi dwiema salami winda, gdzie z komory gazowej odwożono trupy. Więźniowie z *Sonderkommando* mieli specjalne haki w postaci zakrzywionych widelców, którymi brali trupy za szyję – głowa nie przechodziła – i tak odciągali je najpierw pod pokój badania lekarskiego, stamtąd do windy, windą do góry i pod piec. Sala do rozbierania miała numerki. Były tam wbite gwoździe, na gwoździach były numerki, wokoło sali biegły ławki. Więźniowie wchodzili do tej sali, był tam tylko jeden SS-man bez broni, ewentualnie z bronią boczną, miał przy sobie laskę – oni chodzili zawsze tylko z laską – i taki SS-man mówił do wchodzących (naprawialiśmy windę, więc byliśmy w krematorium i słyszeliśmy): „Układajcie rzeczy porządnie, żebyście się później nie kłócili. Jeżeli ktoś ma rzeczy wartościowe, to może oddać tutaj do depozytu. Jeżeli ktoś nie chce, może zostawić w ubraniu, tutaj nic nikomu nie zginie”. Co czwarte drzwi się otwierały w lewo i w prawo. Do drugiej komory były otwarte ciężkie drzwi; sztaby, na które były zamknięte, były oprawione filcem dla uszczelnienia, tak że ludzie nie mogli zobaczyć tych drzwi. Z boku była otwarta piękna łaźienka, sedesy porcelanowe. Co czwarty, który wchodził, dostawał ręcznik i mydło. Ludzie nie orientowali się do tego stopnia, że były wypadki, iż do takiej komory wprowadzano 500 osób. Ponieważ szkoda było dla nich gazu, a spodziewany był drugi transport, który stał już na boczniczy kolejowej, więc ci pierwsi rozebrani chodzili i wychodzili i mimo to nie wiedzieli, o co chodzi. Kiedy potem wszyscy razem weszli i ciężkie drzwi się zamykały, powstawał straszny krzyk. Dopiero kiedy drzwi się zamykały, ludzie orientowali się, co się dzieje, ale już było za późno, gaz został wrzucony i ich zagazowywano.

Były cztery krematoria: dwa większe i dwa mniejsze. W dwóch większych krematoriach były piece tzw. muflowe. Było ich 16. Dwa mniejsze krematoria miały po osiem pieców. Do każdego pieca kładziono przeciętnie dwie osoby, czasami trzy, zależnie od tego ile się zmieściło, jaki był transport, czy ludzie szczupli, czy dobrze wyglądający. Paliło się 15–16 pieców po dwie–trzy osoby. Dołów, kiedy tam byłem, było sześć, każdy miał 2,5 m głębokości i mniej niż 3 [m] szerokości.

Widziałem, jak wyglądało w tym dole, ponieważ pracowaliśmy bezpośrednio przy nim. Były tam założone rury wodociągowe, doprowadzono wodę, kolejkę, dla odwożenia z komory ludzi na lorach. Na spód dołu kładli gałęzie i drobne łupy drzewa, następnie układali mężczyzn, po mężczyznach gałęzie, niewiele, potem kobiety.

Kobiety się znacznie łatwiej palą niż mężczyźni, są łatwopalne, ciało jest delikatniejsze, ma więcej tłuszczu. Kiedy załadowano takie dwie warstwy, oblewano smarem i podpalano miotaczem ognia. Były specjalne butle, z których podpalano. Kiedy już się paliło, nie trzeba było dokładać drzewa, tylko przeplatano mężczyzn i kobiety. Jeden dół palił przez dobę ok. 5000 ludzi. Kiedy taki dół był zupełnie zapełniony, powstawał jakiś smar, maź, smoła. Podjeżdżały samochody wywrotki, wybierano te doły, jeżeli były potrzebne do dalszego użytku, i z mostu na Sole wywracano platformy i wysypywano do wody. Höß osobiście zamawiał u nas w ślusarni siatki – [o] średnicy oczka 10 mm – które służyły do przesypywania kości. Te przesypane kości rozrzucano po polach jako nawóz sztuczny.

Zdarzały się takie wypadki, kiedy nasilenie pracy w krematoriach było duże; kiedy jednych ludzi zagazowywano i szybko wybierano pozostałe po nich rzeczy, zmywano wodą krew, usuwano trupy i rozpylano specjalny płyn o zapachu gabinetu dentystycznego, żeby nie czuć było gazu.

Kiedy tych ludzi zagazowanych wywożono wózkami ku dołom, zdarzały się wypadki – ponieważ musiano bardzo szybko gazować, już po kilku minutach otwierano komory – że ci ludzie, kiedy dostawali się na powietrze, ożywali, chociaż byli nieprzytomni – nie zwracano na to uwagi, tylko wrzucano ich do ognia.

Za złe lub niechętne wykonanie pracy Moll na moich oczach zastrzelił dwóch Żydów. Jeden Żyd wskoczył sam w ogień, ponieważ spotkał tam swoją matkę i siostrę.

Wszyscy jeńcy wojenni, którzy zostali zamordowani lub którzy zmarli z głodu lub z powodu tyfusu w 1942 r., nie byli paleni, tylko zadołowani, w Brzezince, w lasku, przysypani jakimiś 80

cm ziemi. Pewnego dnia w lecie 1943 r. [roznioś się] niesamowity zapach – nie można było oddychać. Ciała Rosjan fermentowały. Po prostu zrobił się wulkan. To wszystko wybuchło. Straszne było powietrze. Ponieważ podeszła tam woda, w obawie, żeby jej nie zepsuć na terenie obozu, gdyż używali jej SS-mani, bo niedaleko był *Truppenlazarett* – lazaret wojskowy, przystąpiono do akcji. Schlorowano teren. SS-man przezywany „Perełką” kazał przekopać te groby specjalnymi bosakami zrobionymi u nas w ślusarni i palono te doły miotaczami ognia.

Jeden miotacz zepsuł się i został oddany do nas do naprawy. Przy SS-manie, który z nim przyszedł, nie można było stać. Wtenczas pracował jako cywilny pracownik ojciec Schwarza, *Lagerführera*. Przyszedł do SS-mana, nie mógł wytrzymać, wyprosił go więc ze ślusarni, tak ten SS-man był przesiąknięty zapachem. Rosjanie zostali w ten sposób spaleni.

Jeszcze co do stosunków w ślusarni. Höß interesował się nią. Prawie codziennie w tym okresie był u nas, wymyślał najrozmaitsze rzeczy, żeby usprawnić szybsze zabijanie ludzi.

Raz w Brzezince pracowało pięciu Polaków przy obkopywaniu rowów przy drodze. Tą drogą szedł *Zugang* – nowo przybyli do krematorium Węgry. Polacy zwrócili się do nich: „Brońcie się, bo idziecie do gazu”. Ci zwrócili się do *Hauptsturmführera* Schwarza, że ci oto mówią, iż idziemy do gazu. Schwarz podszedł do tych pięciu i zastrzelił ich na miejscu. To byłoby co do krematorium.

Jeszcze wrócę do rozstrzeliwań. Egzekucje odbywały się również bezpośrednio w krematorium, wykonywał je Lachmann, przeważnie strzelał Palitzsch i jego następcą Stilitz. Odbywało się to w ten sposób, że w krematorium był skład trupów, drzwi otwierały się w lewo. Za drzwiami stał SS-man z pistoletem. Przeznaczony do zastrzelenia wchodził tam i zza drzwi SS-man strzelał i tamten upadał.

Co do wyroków, które miały się odbywać w Oświęcimiu. Były dwa rodzaje skazanych. Byli tacy, którzy przychodzili już z wyrokami, był taki kilka dni czy kilka miesięcy na terenie obozu i z gestapo przychodzi pisemko, iż należy takiego a takiego rozstrzelać. Był jeszcze i drugi rodzaj rozstrzeliwań, drugi rodzaj kary śmierci, gdzie więźniowie byli zabierani bezpośrednio za jakiegoś przestępstwo czy to tzw. organizację. Brano na bunkier do bloku 11. Co tydzień do takiego bunkra przychodzili osobiście Höß, *Lagerführer* i przedstawiciel biura politycznego, otwierali każdą celę i pytali: „Ten za co, ten za co?”. Przedstawiciel biura politycznego referował i wtenczas oni wyznaczali komisyjnie, że tych i tych ludzi należy rozstrzelać. Bez żadnego innego wyroku – te wyroki wydawali oni sami.

Więźniowie rozumieli się wzajemnie, narodowość ani wyznanie nie odgrywały żadnej roli, więźniowie między sobą różnic narodowościowych nie robili, stwarzali je sami Niemcy. W 1942 r. Polacy zorganizowali pomiędzy więźniami pomoc i opiekę i stworzyli działalność polegającą na kontaktach z zewnątrz. Zrobili to nieostrożnie. Wkradł się do nich jeden konfident Niemiec, który przebywał w obozie ostrzyżony, z numerem, był to pracownik gestapo. Wtenczas zostało rozstrzelanych 40 oficerów polskich, między innymi dwóch braci Kulińskich z Pruszkowa. Jednak więźniów to nie odstraszyło. Całe dowództwo niemieckie zdawało sobie doskonale sprawę, że więźniowie jednak są zorganizowani i gdzieś nad czymś pracują, że gdzieś mają jakąś łączność, tylko nie można tego uchwycić. Zrobili więc sieć konfidentów w obozie. Mieli przeważnie konfidentów Niemców, ale byli też czasem nie Niemcy – więźniowie, których postawili pod ścianę, potem wyciągnęli stamtąd i powiedzieli, że darują im życie, ale muszą zostać konfidentami. Wiedzieliśmy o tym stąd, że ci ludzie po kilku dniach byli rozstrzeliwani, ponieważ żadnego materiału nie dali. Palitzsch zorganizował tzw. czarną skrzynkę. Każdy więzień mógł napisać doniesienie i włożyć do tej skrzynki. Rano przed apelem Palitzsch ją otwierał i wyciągał różne pisemka. Treści tych pisemek nie znam.

Jak już wspominałem, m.in. był transport Francuzów w liczbie 1100 osób. U nas w ślusarni zatrudniliśmy 11 Francuzów. Zostało ich z całego tego transportu ok. 90. To była już reszta. Nie dopuszczano ich do tego, żeby im dać zajęcie według ich zawodu, bo byli przystani do Oświęcimia po to, żeby wszyscy zginęli. Jednak dzięki zorganizowaniu więźniów, dzięki współpracy z *Arbeitsdienstem* tych więźniów ulokowano tak, że 90 Francuzów się zachowało.

Więźniowie zrozumieli, że jednak trzeba zachować wszelkie środki ostrożności. Sprawność w 1943 r. była już dobra. Zdarzają się teraz wypadki, że przyjeżdża mąż, który był w obozie – sam znam taki przypadek – a żona jego tymczasem wyszła za mąż, na tej podstawie, że otrzymała z Oświęcimia jego prochy wraz z zawiadomieniem, że zmarł on na zapalenie płuc. W jaki sposób to się mogło stać? Otóż więźniowie, którzy pracowali w biurze politycznym, czasem dowiadawali się przed egzekucją, że ma być rozstrzelany jakiś więzień. Zarządzenie co do rozstrzelania więźnia przychodziło do biura politycznego kilka dni wcześniej. Sprytny więzień potrafił zdobyć te nazwiska i numery. O tych nazwiskach więźniowie z biura politycznego dawali znać do szpitala. W szpitalu organizowali te rzeczy lekarz Władysław Fejkiel, Cyrankiewicz, Hołuj, Czesław Soból i Dziurzyński. Przeprowadzali oni sprawę w ten sposób, że takiego więźnia skazanego na śmierć zabierano z obozu jako chorego i ten człowiek, chociaż zdrowy, udawał chorego. Na dzień przed egzekucją, kiedy już sekretariat

obozowy otrzymał zawiadomienie, że takie a takie numery mają pójść jutro do fotografii – było już znane wśród więźniów, co to znaczy iść do fotografii – więzień dostawał karteczkę, że ma udawać chorego, prowadzono go do szpitala i tam notowano jako chorego. Następnie wpisywano go do kartoteki zmarłych, jego numer dawano koledze, który zmarł rzeczywiście, a on zabierał numer i nazwisko tego zmarłego. Nazwisko więźnia, który miał być rozstrzelany otrzymywał nieboszczyk. Następnie szedł do biura sekretariatu meldunek, że więzień mający być rozstrzelany zmarł. Zmarłego wynoszono, a ten, który miał być rozstrzelany, żył pod jego nazwiskiem i numerem. Może się więc zdarzyć, że ktoś, kto był przez rodzinę uznany za zmarłego na podstawie zawiadomienia z Oświęcimia, obecnie powraca.

Te rzeczy były wspaniale zorganizowane. W 1943 r. rozeszła się pogłoska, że obóz ma być zdziesiątkowany za zamordowanie SS-manów. Jak się dowiedziałem od Lubuscha, który był szefem ślusarni, sprawa przedstawiała się w ten sposób: zamordowany SS-man był pijany i szedł z dwoma więźniami, którzy zasadniczo nie mieli zamiaru ucieczki. Ale pijany SS-man zaczął do nich strzelać, zaczęli się szamotać i mieli już jedno jedyne wyjście – zabić go. Wrócić z nim do obozu nie mogli, zostawić go z karabinem też nie, boby strzelał za nimi, w ten sposób więc w czasie szamotaniny zabili go. W całym obozie po tym wypadku panowała grobowa cisza. Wszyscy więźniowie rozmawiali tylko półgłosem. Kierownictwo obozu obserwowało to wszystko, wiedzieli jednak, że więźniowie są zaniepokojeni i że cały obóz jest zdecydowany na wszystko. To rzekome zdziesiątkowanie obozu zostało odwołane i Palitzsch ogłosił wieczorem po wszystkich blokach, żeby więźniowie się nie bali, że już więcej rozstrzeliwać nie będzie.

Po rozstrzelaniu transportu lubelskiego było duże zaniepokojenie w obozie i pomiędzy więźniami tworzyły się rozmaite spiski. Niemcy wiedzieli, że jest jakaś organizacja, która bardzo sprawnie działa na terenie obozu i z którą się bezwzględnie trzeba liczyć. Mimo że robili wszystko, co mogli, wykryć tej organizacji się nie dało.

Jak powiadam, *Rapportführer* Palitzsch oświadczył na wszystkich blokach, że rozstrzeliwać nie będzie i rzeczywiście przez jakieś dwa tygodnie nie było egzekucji. Stworzone natomiast zostało komando „kosiarzy”, jak już wspominałem, i strzelano do nich poza bramą. Do tego komanda wyznaczono ludzi, którzy byli przeznaczeni na śmierć. Przykrytych trawą przywożono ich na rolwadze.

W 1943 r. zaczęto budować rzeźnię. Ponieważ pracowali przy tej budowie więźniowie, zaczęła się tzw. mała organizacja, za którą bardzo dużo ludzi poniosło śmierć. Za każdą rzecz szło się do bunkra, a potem na rozstrzelanie. Ci więc, którzy „organizowali” w obozie w Oświęcimiu, bezwzględnie chodzili codziennie w parze ze śmiercią. Nasze komando – ślusarnia – miało możliwość chodzenia na te roboty. Jednego dnia zwrócił się do mnie *Unterscharführer* Loss, żeby mu skonstruować maszynkę do rozcinania flaków cielęcych. Bili tam wtedy w rzeźni przeciętnie 300 cieląt dziennie. Zrobiłem mu tę maszynkę i Loss w zamian za to wyjednał mi przez *Untersturmführera* Engelbrechta wejście do rzeźni. Dano mi tam konserwację maszyn chłodniczych i innych.

W rzeźni przeciętnie bito 80 sztuk świń, ok. 150 sztuk bydła i 300 sztuk cieląt dziennie. To wszystko szło na SS i na te maleńkie plasterki kiełbasy, przeważnie końskiej, bo i to tam było wyrabiane – dla więźniów.

Po rozstrzelaniu kilku więźniów za kradzież kiełbas nie można już było nic wynosić. Jak wiadomo, byli tacy, którzy wynosili nawet po 100 kg dziennie. Do takich należał inżynier elektryk, do którego należała konserwacja motorów, Stanisław Załęcki, Zawadzki i Wojtuś Kozłowski. Wysyłali oni te transporty do obozu do szpitala. Otóż trzeba było przez bramę przewozić w ten sposób, żeby się nie dać złapać, bo jeżeli złapali, był koniec. Za to była kara śmierci.

Kiedy rozstrzelali tych trzech z rzeźni, zmusiło mnie to do wymyślenia nowej skrytki, tak żeby SS-mani nie mogli jej znaleźć. Takie coś jak podwójne dno w skrzynkach to była już stara rzecz, trzeba było coś nowego wymyślić. Zrobiliśmy więc tak, że do butli z acetylenem wstawiliśmy w środek krążek, tak że można było wtłoczyć 50–100 atmosfer acetyleny, który mógł wystarczyć na pół godziny spawania. Reszta butli była próżna, u dołu zakręcona. Trzeba było zawsze coś zepsuć, żeby mieć możliwość pojechania z butlą do rzeźni. SS-mani rewidowali najmniejszą kieszonkę, ale nie wiedzieli, że do tej butli wchodziło ok. 40 kg mięsa czy kiełbasy i butla wędrowała dalej. Utrzymała się do końca obozu. Nikt nie odkrył tej tajemnicy do końca. Niemcy wiedzieli, że się różne rzeczy przewozi; przewoziło się do obozu kobiecego lekarstwa, rozmaite zastrzyki i pocztę z pracy podziemnej. Do transportu służyła ta butla. Po przyjsciu ludzi z powstania warszawskiego w okolice Oświęcimia rozesłano dzieci i niektóre rodziny, które głodowały w straszny sposób. Wtedy Załęcki i Polak kapo z rzeźni imieniem Zdzisław, który nie żyje, wysyłali tę butlę furmanką, która przyjeżdżała z miasta, na wioski z żywnością dla dzieci.

W 1943 r. zaczęło się bezwzględnie lepiej powodzić w Oświęcimiu. Przygnębiająca była tylko ta niesamowita liczba przywożonych ludzi. Kiedy już nie mogli pomieścić ludzi w obozach, zbudowali obóz zwany popularnie przez więźniów Meksykiem. Ten Meksyk dopiero był budowany; pracowali tam więźniowie ze ślusarni, pokrywacze dachu, instalatorzy, którzy doprowadzali wodę. W Meksyku znajdowały się kobiety. Większa ich część była nago. Od tego powstała nazwa Meksyk, że tam było wszystko na dziko. Ogrodzony był tylko drutami. Zgromadzono tak 17 tys. ludzi, ale stopniowo tych więźniów ubywało. Kobiety chodziły tam w stroju adamowym, po kolana w błocie, spały bez żadnego siennika, w barakach na gołej podłodze. Nie miały stołów, taboretów, nie było w Meksyku zupełnie wody w studni. Raz dziennie do tych Węgierek – przeważnie tam były węgierskie Żydówki – przyjeżdżał beczkowóz, który przywoził wodę. Wszystko tam tonęło w bocie. Pod koniec 1942 r. Meksyk został zlikwidowany, wygazowano wszystkie więźniarki, baraki zostały rozebrane, wszystko zostało zniszczone. To było w tym czasie, kiedy zostały wysadzone krematoria. Z krematoriów Niemcy zdjęli tylko dachówki, resztę wysadzili. To byłoby mniej więcej wszystko.

Przewodniczący: W związku z zeznaniem świadka mam pytanie do oskarżonego. Świadek zeznał, że Höß własnoręcznie odbierał dzieci i wrzucał do samochodu?

Świadek: Tak jest. To był pierwszy transport czechosłowackich Żydówek.

Przewodniczący: Oskarżony Höß, proszę wstać. Proszę pana tłumacza o zapytanie oskarżonego: czy przyznaje się do tego?

Oskarżony: Nie. Zasadniczo matki z dziećmi natychmiast przekazywane były do komory gazowej.

Przewodniczący: Świadek powiedział, że była taka sytuacja, że Höß osobiście oświadczył 40 ludziom, że są ułaskawieni?

Świadek: Tak.

Przewodniczący: Czy był wyrok w stosunku do tych ludzi?

Świadek: Nie wiem, ponieważ to nie byli więźniowie, którzy przebywali u nas w obozie, tylko byli przywiezieni, jak mi wiadomo, z Katowic. Mieli być rozstrzelani pod tym słupkiem, czekano na Hößa. Höß przyjechał i oświadczył, że zamienia im karę śmierci na dożywotnie więzienie.

Przewodniczący: Jest jeszcze taka okoliczność w zeznaniu świadka: świadek mówił o gimnastyce – że bito tych, którzy nie chcieli się gimnastykować, względnie padali oni z wyczerpania?

Świadek: Tak jest.

Przewodniczący: Czy przy dawaniu obiadów były utrudnienia, czy tak to organizowano w czasie, że więźniowie nie byli w stanie nawet zdążyć zjeść?

Świadek: Tak. Nawet pobrać obiad.

Przewodniczący: Dalej, że nie mieli łyżek, bądź nie mieli misek?

Świadek: Tak jest.

Przewodniczący: Czy upatruje świadek w tym pewien system głodzenia ludzi, znęcania się nad ludźmi? Czy uważa świadek, że to leżało w systemie komendantury obozu?

Świadek: Tak. To było w ich systemie. Jeszcze przypominam sobie taki wypadek: przy budowie bloku 15. więźniowie wykopali głęboką piwnicę, która podeszła wodą. W tej wodzie pracowała kompania karna. Pracował tam stary Żyd z synem. Czterech SS-manów, stojąc nad dołem, przyglądało się robocie. Jeden z nich zwrócił się do syna: „Utop ojca”. Ten młody Żyd odpowiada: „Jakże ja mogę ojca utopić?”. „Chodź tutaj” – zabrali go na górę, pobili go w straszny sposób i kazali iść z powrotem. Powiadają: „Utop ojca”. Ten, niewiele się namyślając, ojca za głowę, przycisnął i utopił. Po utopieniu ojca wołają Żyda na górę, wymyślają: „Jaki ty jesteś syn, że ojca utopiłeś”. Potem za to, że utopił ojca, wzięli go kapo niemieccy za ręce i nogi, rozbujali, wrzucili do dołu i też utopili.

Zachował się jeden Żyd w Oświęcimiu, stary Żyd, miał najstarszy numer 26 z czymś. Był do samego końca, do 18 stycznia 1945 r. Dlaczego się utrzymał przy życiu? Dlatego że pracował w muzeum na polecenie Hößa, tłumaczył Talmud na język niemiecki. Nieraz z nim rozmawiałem. Powiada: „Ja już jestem stary, ale żebym mógł 500 lat żyć, tobym nie mógł wszystkiego przetłumaczyć. Jedna litera tyle znaczy, co cała książka niemiecka”. W ten sposób wprowadzał w błąd, że to tak powoli idzie, codziennie pisał różne rzeczy, jakie rzeczy pisał, nie wiem, nie znam hebrajskiego, ale codziennie parę tłumaczeń Hößowi z Talmudu dawał.

Przewodniczący: Jeszcze jedno pytanie. Świadek zeznał, że był jeden SS-man, zdaje się Schwarz, który badał transporty kobiece przez wkładanie ręki do kobiecych części [ciała]. Czy świadek mógłby powiedzieć, w jakim celu to było robione?

Świadek: Nie wiem, nie mogę na to odpowiedzieć. Ale obserwowałem te rzeczy.

Przewodniczący: To robili na oczach wszystkich?

Świadek: Nie. To było za murem. Höß był tam także obecny. Było kilku oficerów, ale tym „badaniem” zajmował się Schwarz. Miał on gumową rękawiczkę na ręce. Widzieliśmy to, gdyż byliśmy na bloku 15., na strychu, a to się działo tuż za murem, obóz kobiecy od męskiego przedzielony był płytami betonowymi.

Przewodniczący: Wobec wyczerpujących zeznań świadka nie mam dalszych pytań.

Sędzia Tarczewski: W obozie był *Stubendienst* Beniek. Kto to był?

Świadek: Przyjechał ze mną transportem. Był na usługach Krankemanna na bloku 6. To był człowiek o bardzo małej wartości. U Krankemanna wszyscy *Stubendienstowie*, porządkujący salę, musieli bić. Na bloku Krankemanna codziennie odbywało się to bicie. Krankemann codziennie bił w ten sposób, że przy kancie muru ustawiał więźnia, zamierzał się dłonią, a uderzał łokciem w szczękę. Szczęka się wyłamywała i głowa uderzała o kant muru i więzień padał.

Z bloku 6. Krankemann wszystkich wypędzał wieczorem w przysiadach. Miał ulubioną polską piosenkę, „Młynarkę”, która specjalnie śpiewał kolega Myszkowski z chóru Dana. Postawiony na taborecie musiał godzinami śpiewać „Młynarkę” a myśmy wszyscy, żeby się nie nudzić, siedzieli w przysiadzie z założonymi rękoma.

Rozrywki – *Blockführerzy* byli tak inteligentni, że przychodzili na koncerty. Orkiestra symfoniczna składała się ze 120 ludzi. Grali przeważnie Polacy i Czesi. To byli sami wirtuozi, profesorowie, więc nic dziwnego, że muzyka była wspaniała. Grali na swoich własnych instrumentach, które na polecenie Hößa sprowadzili z domu do Oświęcimia. Więźniowie mogli chodzić na te koncerty. W zimie próby odbywały się w sali tuż koło muzeum. W pierwszych szeregach siedzieli zawsze SS-mani. Byli tacy *Blockführerzy* – siedziałem z nimi i słyszałem, jak jeden do drugiego mówił: „Słuchaj, nie rozumiem, Polacy nie mówią po niemiecku, a z nut niemieckich tak pierwszorzędnie grają”.

Sędzia Tarczewski: Chcę zapytać o wypadek z Bogerem, wyjęcia języka.

Świadek: Znam ten wypadek. To był rosyjski jeńiec wojenny, jeden z tych pozostałych. Wtenczas wieszano trzech więźniów. Cały obóz obecny był podczas wieszania. Przed kuchnią na bloku 4. stał stół i olbrzymi basen na trzech filarach. Tam się odbywały egzekucje. Więzień wchodził na stół, na stole był taboret i na szyję zakładano mu stryczek. Wtenczas wszyscy więźniowie, kiedy tamci mieli być powieszani, zdjęli czapki. Skazani krzyczeli w straszny sposób, jeden nie pozwalał się wieszać, ręce miał związane. Boger uderzył go kilka razy rękojęścią rewolweru w zęby, bo starał się mu wepchnąć chusteczkę do ust. Wtenczas ten Rosjanin kopnął Bogera, Boger spadł ze stołu; zdenerwowany skoczył, rozciął [więźniowi] usta i wyciął mu język.

Sędzia Tarczewski: Czym świadek tłumaczy znajdowanie w zupie żyletek i innych rzeczy?

Świadek: Ci, którzy przyjeżdżali, przywozili ze sobą najrozmaitsze rzeczy: wszystko, co mogło im się przydać. Przy segregowaniu to wszystko rzucano razem. SS-mani nie brali napoczętych, używanych rzeczy. Wszystkie okruchy, okruszyny zwalano na jeden stos. Najrozmaitsze tu były rzeczy: kawałki chleba, szczoteczki do zębów. Wszystko to razem łopatą zbierano i jako *Zulagi* dodawano do zupy dla ciężko pracujących.

Sędzia Tarczewski: Kto to był Żyd olbrzym?

Świadek: To był Żyd w *Sonderkommando*. Ponieważ liczba więźniów w *Sonderkommandzie* była bardzo duża, użyto do likwidacji więźniów Żyda olbrzymia, który był umysłowo chory. Wykorzystano tę jego chorobę.

Przewodniczący: Świadek mówi o Leo?

Świadek: Tamten nazywał się Jakub. To, co mówię, było w 1943 r. To był Żyd olbrzym. SS-man i kapo mówili do niego: „Idź i pobij tamtego”. Byłem naocznym świadkiem i przyglądałem się temu, o czym w tej chwili mówię. Żyd olbrzym podchodził do więźnia, zamachnął się; jak się więzień przechylił, to nie uderzał tam, gdzie zamierzał, tylko w szyję. Brał tamtego potem za głowę, głowę ściągał do dołu i – że tak to określe – spychał mu głowę z kręgosłupa. Tego Żyda w tragach nosili inni Żydzi. Przeważnie przy wejściu komand byli obecni oficerowie, był również obecny Höß. Wszyscy się serdecznie śmiali, prowadzili rozmowy bardzo wesołe. Bardzo się śmiali z tego.

Jestem przemęczony już, ale przypominam sobie wypadek rozstrzeliwania przez Palitzscha w 1941 r. w piwnicy. Był to transport 165 kobiet i w tym jedna staruszka. Tych ludzi przyprowadzono w godzinach poobiednich. Wieczorem, kiedy wracaliśmy z pracy, spotkaliśmy się w bramie z rolwągą, która tę bramę zatarasowała. Dwoma kanałami przy krawężnikach ciekła krew właśnie z tego bloku. Cała droga była polana krwią z trupów, które nasi więźniowie wozili do krematorium.

My, jako więźniowie, nie byliśmy ludźmi. Liczono nas na sztuki. Pytał się jeden SS-man drugiego: „Ile masz sztuk?”. „Tyle i tyle mam sztuk”.

Sędzia Zembaty: Czy świadek potrafiłby ustalić w przybliżeniu liczbę osób zagazowanych w Oświęcimiu, Żydów i nie-Żydów?

Świadek: Tej liczby nie mogę z dokładnością określić, ale z pewnością przekroczyła 3,5 mln, ok. 4 mln.

Sędzia Zembaty: Czy świadek ocenia na oko tę liczbę, czy też na podstawie jakichś list transportowych?

Świadek: List transportowych nikt nie miał. Na podstawie list transportowych samo kierownictwo obozu nie wie, ile osób zagazowano, bo to było tak chaotycznie robione, pociąg za pociągiem szedł, list żadnych nie prowadzono, może przy wyjeździe z jakiegoś państwa były, ale w Oświęcimiu nie było.

Sędzia Zembaty: Czy tam wśród tych zagazowanych znajdowali się Anglicy?

Świadek: Anglicy byli u nas w obozie. Byli zestrzeleni lotnicy angielscy. I Amerykanie byli także. Właściwie to byli obywatele amerykańscy. Nazwiska jednego z nich, który zmarł obok mnie, nie pamiętam. Znam dokładnie nazwisko pewnego Amerykanina – Pietrzykowski.

Sędzia Zembaty: Więc Anglicy byli przez cały czas na terenie Oświęcimia?

Świadek: Wiedziałem o ośmiu Anglikach i o trzech Amerykanach.

Sędzia Zembaty: Czy świadkowi nie wiadomo, że do Brzezinki miały przyjść transporty Anglików łącznie składające się z ok. 3000 osób?

Świadek: Nie słyszałem.

Sędzia Zembaty: Co się stało z tymi ośmioma Anglikami, względnie z trzema obywatelami Stanów Zjednoczonych?

Świadek: Nie mogę powiedzieć, jaki los ich spotkał, wiem, że z obozu zniknęli.

Sędzia Cieśluk: Czy oskarżony Höß utrzymywał stosunki towarzyskie z rodakami, innymi Niemcami poza SS-manami?

Oskarżony: Czy spoza obozu?

Sędzia Cieśluk: Spoza obozu.

Oskarżony: Tak jest.

Sędzia Cieśluk: Czy oni nie odgraniczali się od oskarżonego, wiedząc o tym, że jest on komendantem obozu w Oświęcimiu?

Oskarżony: Nie.

Sędzia Cieśluk: Czy oskarżony otrzymał jako komendant obozu jakiekolwiek odznaczenie?

Oskarżony: Tak jest. Otrzymałem jedno odznaczenie, mianowicie krzyż zasługi wojennej. Jako ostatni ze wszystkich komendantów obozów, którzy wszyscy te odznaczenie otrzymali.

Świadek: Był jeszcze jeden wypadek bardzo ważny, który zdarzył się w ślusarni. Przywożono więźniów zakutych w kajdany na ręce i nogi. Na nogach sztaby olbrzymie, nieskręcone śrubą, tylko zانيتowane na stałe. I tych więźniów myśmy na kowadło rozkuwali. Były u nas produkowane inne jeszcze kajdany – to był pomysł Grabnera – gdzie za poruszeniem ręki śruba przeskakiwała i zacieśniała się. Więzień tak zakuty nie mógł poruszać ręką, bo za każdym poruszeniem kajdany bardziej się zacieśniały.

Przewodniczący: Czy Prokuratura ma pytania? (Nie).

Czy obrona ma pytania? (Tak).

Adwokat Ostaszewski: Chcę jeszcze niektóre rzeczy wyjaśnić dokładniej. Świadek mówił o Krankemannie, że nazywano go misjonarzem?

Świadek: On sam oświadczył, że miał być misjonarzem.

Adwokat Ostaszewski: O ile chodzi o paczki, świadek zeznał, że do obozu były przysyłane paczki. Ci więźniowie, którzy otrzymywali paczki z opłatkami, dostawali bicie i opłatki, a ci, którzy dostawali paczki bez opłatków, dostawali tylko chleb. Jak to wytłumaczyć, że więźniowie jednakże te paczki otrzymywali, dzięki czemu mogli obóz przetrwać?

Świadek: Dopiero w 1943 r. wolno było przysyłać paczki i dopiero wtedy więźniowie paczki otrzymywali.

Adwokat Ostaszewski: Więc to było w późniejszym czasie. A z początku?

Świadek: Z początku nie. Paczek z początku zasadniczo nie przysyłano, było wyjątkowe i jednorazowe zezwolenie na święta Bożego Narodzenia.

Adwokat Ostaszewski: Rodzinom były przysyłane prochy więźniów spalonych w krematorium. Jak świadek to rozumie, jaki był cel przesyłania tych prochów?

Świadek: Początkowo wysyłano rodzinie prochy każdego zmarłego w puszcze.

Adwokat Ostaszewski: Ale jaki był cel tego? Czy to był akt kurtuazji w stosunku do rodziny? Może świadek słyszał w obozie, dlaczego to robiono?

Świadek: Nie. Zresztą później już nie wysyłano prochów, tylko zawiadamiano o śmierci.

Adwokat Ostaszewski: Świadek mówił, że Höß w ślusarni interesował się specjalnie narzędziami zbrodni. Chodzi mi o to, jakimi to narzędziami czy narzędziami tortur, czy tymi do gazowania?

Świadek: Jeżeli chodzi o komendanta Hößa, to interesował się specjalnie narzędziami do gazowania, siatkami do przesypywania kości itd. Natomiast narzędziami tortur interesowali się Grabner, Woźnica i Boger.

Adwokat Ostaszewski: Świadek spotkał się z Hößem, bo Höß przychodził do ślusarni, interesował się zwłaszcza – jak świadek opowiadał – gdy świadek stwarzał pewne wynalazki. Jakie było zachowanie się Hößa np. w stosunku do świadka? Czy on czymś się różnił od innych SS-manów, czy nie?

Świadek: On w ogóle z więźniami nie rozmawiał.

Adwokat Ostaszewski: A świadek nie przeprowadzał z nim bezpośrednio żadnej rozmowy? Czy zadawał jakieś pytania?

Świadek: Rozmawiałem z nim jedynie wtenczas, kiedy popędzał nas, żebyśmy ten wentyl zrobili, wtedy kiedy był z Grabnerem.

Adwokat Ostaszewski: Czy choćby w tym wypadku można było zauważyć, że zachowanie jego było inne niż Palitzscha, Fritzscha czy Grabnera?

Świadek: Oni zachowywali się jednakowo: zdenerwowani, popędzali żeby szybko robić, śpieszyć [się].

Adwokat Ostaszewski: Więc tylko wydawali rozkazy?

Świadek: Tak.

Adwokat Ostaszewski: Jak świadek zeznał, Palitzsch przy rozstrzeliwaniu więźnia kazał mu się przeżegnać po raz drugi.

Świadek: Kiedy więzień podnosił rękę do góry, Palitzsch strzelał.

Adwokat Ostaszewski: Jak świadek to tłumaczy? Czy to była chęć odwrócenia uwagi w momencie rozstrzelania?

Świadek: Nie. Palitzsch nienawidził księży, a jeżeli u kogoś znalazł medalik, mordował go od razu. Więc to było raczej naśmiewanie [się]: „Przeżegnaj się jeszcze”.

Adwokat Ostaszewski: Świadek mówił, że w pewnym momencie w komorze gazowej były dokonywane rozstrzeliwania przez SS-mana, który stał z tyłu za drzwiami. Przy zeznaniu kojarzyło mi się, że to była może chęć odwrócenia uwagi tego, który wchodził?

Świadek: Ten, który wchodził, nic o tym nie wiedział. SS-man stał za drzwiami po to, żeby się ukryć.

Adwokat Ostaszewski: Żeby ten, który miał być rozstrzelany, nie wiedział?

Świadek: Tak jest.

Adwokat Ostaszewski: Świadek wspomniał o prof. Schumannie. Świadek oświadczył, na podstawie oświadczenia Schumanna, że to był lotnik, który został zestrzelony nad Anglią?

Świadek: Nad Londynem.

Adwokat Ostaszewski: Skąd się dostał do obozu w charakterze lekarza?

Świadek: Chodził w mundurze lotnika z oznaczeniem lekarza. Był lekarzem w lotnictwie.

Adwokat Ostaszewski: Czy był profesorem uniwersytetu, czy zwykłym lekarzem?

Świadek: Nie wiem, w każdym razie ja bym mu się leczyć nie pozwolił.

Adwokat Ostaszewski: Świadek wspomniał, że to była osoba, która miała specjalne pełnomocnictwa, bo wystawił świadkowi zaświadczenie o możliwości poruszania się po całym obozie. Przez kogo został przysłany?

Świadek: Przez Hitlera. Miał polecenie od samego Hitlera – jak mi powiedział. Nie bywał u komendanta Hößa, ale raczej miał duży wpływ na niego.

Adwokat Ostaszewski: Jego stanowisko było nadrzędne?

Świadek: Tak jest. Nie miał nic wspólnego z Hößem, bo miał specjalną pracę do wykonania.

Adwokat Ostaszewski: Świadek wspomniał o spalonych jądrach. Chodzi o to, czy to było spalenie, czy unicestwienie?

Świadek: Nie. To nie było spalenie.

Adwokat Ostaszewski: O to mi chodzi. To było złe określenie. Chodziło o unicestwienie organów rozrodczych?

Świadek: Tak jest.

Adwokat Ostaszewski: Jeszcze jedno pytanie. Świadek wspomniał, że w łaźni były numery.

Świadek: Tak jest.

Adwokat Ostaszewski: Obok była łaźienka?

Świadek: Tak.

Adwokat Ostaszewski: Czy te rzeczy były robione dla zamaskowania, czy np. świadek nie uważał, że to była chęć odwrócenia uwagi?

Świadek: Tak jest, tylko w tym celu to wszystko było robione.

Adwokat Ostaszewski: Żeby więzień dopiero w ostatniej chwili dowiedział się, że nastąpi śmierć?

Świadek: Tak jest.

Adwokat Ostaszewski: Czy świadkowi wiadomo, czy tego rodzaju zarządzenia były dawane z góry, powiedzmy przez Berlin, czy bezpośrednio prze komendanturę obozu?

Świadek: Jakie zarządzenia?

Adwokat Ostaszewski: Odwracania uwagi.

Świadek: To jest zupełnie zrozumiałe, że sami musieli to robić.

Adwokat Ostaszewski: Chodzi o to, czy było zarządzone z góry, że mają być te rzeczy robione dla odwrócenia uwagi?

Świadek: Nie, kierownictwo obozu ustalało środki, żeby te rzeczy maskować.

Adwokat Umbreit: Świadek opowiadał o dantejskiej scenie zatopienia ojca przez syna w obecności czterech SS-manów?

Świadek: Tak jest.

Adwokat Umbreit: Może świadek przedstawi Trybunałowi, w jakim stopniu byli ci SS-mani.

Świadek: To byli *Blockführerzy*. Każdy *Blockführer* zabijał.

Adwokat Umbreit: Ale w jakim byli stopniu?

Świadek: Podoficerowie.

Przewodniczący: Czy panowie prokuratorzy mają pytania?

Prokurator Cyprian: Nie.

Przewodniczący: Świadek jest wolny.